

665



NA WIRAŻU

JERZY WALDORFF

Wypada mi otwierać tradycyjnie nowy sezon muzyczny w „Polityce”, po wakacjach letnich dość długich, aby się tymczasem nasz świat odwrócił — jak powiadają — do góry nogami, a jak się rzec winno: stanął wreszcie na własnych nogach. W tej nowej sytuacji — na ostrym wirażu bez końca trudnej polskiej historii — każdy musi zeznać co myśli i jaką pozycję zająć pragnie, jeśli należy do zespołu osób publicznych.

PIERWSI i najenergiczniej zrobili to aktorzy, od premiery parlamentarnej zostając senatorami i posłami. Może dlatego, że najwięcej mają czasu i zawodowej umiejętności przerzucania się z roli w rolę: do siódmej wieczorem — senator, od siódmej aktor w całkiem innym teatrze. Nie wyobrażam sobie natomiast Witolda

Lutosławskiego, który zdolny byłby do takich szybkich transformacji: odrywania się od partytur i sięgania po teksty ustaw o handlu warzywem, czy przerywaniu ciąży

Jakkolwiek się dzieje w praktyce, w sferze ocen przemian dookoła, każdy z nas się stać musi „homo politicus”, przynajmniej na czas jakiś. Również ja, tym bardziej, że nigdy się do wypowiedzi o muzyce nie ograniczałem. Wi-nieniem przeto wyjaśnić lub tylko przypomnieć JW Czytelnikom, gdzie i jak pyskowałem w środkach masowego przekazu i na ile mam zamiar się zmienić?

Wcale! Nigdy nie należałem do żadnej partii, czy organizacji politycznej, wychowany na francuskiej filozofii, która za młodości mej uczyła, że intelektualista zajmujący się profesjonalnie analizą obserwowanego życia, winien stać podobny wędkarzowi na brzegu rzeki, aby swobodnie patrzeć na to, co nią płynie. Także oceniać. Więc też osady moje były różne, odpowiednio do przemian świata, aliści niezależne, z wyjątkiem interwencji cenzury (o czym niżej!). Wojownicze usposobienie nakłaniało mnie tylko do kazania z takich ambon, z których głos mój słyszalny byłby najdalej, i w społeczeństwie, i w gabinetach ministerialnych. Dlatego mogłem wywalczyć — między innymi — wille „Atma” w Zakopanem na Muzeum Szymanowskiego, dodatkową kamieniczkę dla Muzeum Instrumentów w Poznaniu, zabytkową salę w krakowskim Hotelu Saskim dla muzyki, pałacyk w Antoninie na miejsce kultu Chopina, choć ówczesny wojewoda Kaliski przeznaczył go najpierw na spichlerz, a potem na oficjalne swoje miejsce uciech, z tańcami i strip-teasem.

Owa potrzeba wysokich ambon była przyczyną, że najpierw po II wojnie starałem się zostać współredaktorem „Przekroju”, później recenzentem „Świata” i felietonistą „Polityki”, z którą współpracuję od równych lat dwudziestu, zaś w Radiu i TV gadałem od początku, jedynie z przerwami karnie wyznaczonymi przez władzę. W „Polityce”, za obustronnym porozumieniem, pisywał będę nadal, co dalej oznacza, że wcale nie będę dzielił jej politycznych opinii. Z wyborym (co

rzec trzeba!) tygodnikiem nie zgadzam się od samego motto przy tytule: „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się!”. Owo hasło jest tak samo nieaktualne, jak ekonomiczne teorie marksizmu, które nas tyle udręczyły.

Nieaktualność polega na tym, że... nie ma już proletariatu — owych nędzarskich mas uciskanych przed wiekiem przez kapitał, bo ich najprostsze i zarazem najcięższe zadania przekazywane są w krajach postępu cywilizacyjnego mechanizmom robotów, a dzisiejsi robotnicy, coraz to na wyższym poziomie uczeni i wykwalifikowani, przeradzają się — na naszych oczach — w bronioną przez związki zawodowe klasę wyspecjalizowanych techników.

Istnieje natomiast inna grupa ludzi, tradycyjnie rozproszonych, od których łączenia się w nowoczesną „armię zbawienia” zależy przyszłość ziemi i jej żywego pogłowia. To — artyści!

W moim osobistym przekonaniu — podejrzeniu rozegrała się kiedyś, ongiś we wszechświecie walka Boga z Szatanem, którą Bóg przegrał i musiał oddać Szatanowi w pacht Ziemię, gdzie on — im dłużej jego władania — tym pełniej realizuje powszechność Zła. Od progów następnego tysiąclecia duże miasta świata, według prognoz UNESCO, rozrosną się każde do około 20 milionów. O ile dzisiaj w Nowym Jorku czy Londynie ścigani zbrodniarze, ukrywając się w masie ludności, są nie do ujęcia, o tyle w przyszłym tysiącleciu jednoczyć się będą w mafie niezwykłe, dyktujące prawa swoje policji.

Całkiem świeżo dowiedziałem się z dziennika TV, że na coraz liczniejszych czarnych rynkach wielu krajów można już nabywać prywatnie głowice jądrowe do zdalnie kierowanych rakiet. Wystarczy zatem jakiś bogaty fanatyk co upatrzy zbawienie ludzkości w unicestwieniu ziemi i będzie po zabawie...

Ostatnią siłą (wobec posuwającej się również laicyzacji świata), która zdolna byłaby w jakimś stopniu zreflektować i ulagodzić ludzkość, widzę w sztuce i jej twórcach, którym do rąk oddana powinna zostać równie potężna, jak głowice jądrowe broń defen-

sywna, jeżeli będzie używana mądrze i planowo — TELEWIZJA.

Dlatego od progu sezonu 1989—1990 zmieniam nagłówek moich felietonów w „Polityce” z dotychczasowego „Uszy do góry!” na inny, potrzebniejszy: „Artyści wszystkich krajów łączcie się!”

Tyle z teorii, a w praktyce chciałbym omówić postać i działania nowego ministra kultury i sztuki, mojej poznańskiej krajanki i dawnej znajomej — Izy Cywińskiej. Żal mi jej! Tak samo jak profesora Krawczuka, który — omamiony blaskiem tytułu ministra — niepotrzebnie rzucił na parę lat swą tyle rzadką, ile cenną specjalność popularyzatora nauki, w jego wypadku Antyku. Jako minister kultury i sztuki nic pozytywnego nie zdziałał, bo w naszym dotychczasowym układzie władzy żaden kierownik tego resortu do głosu w rządowym chórze dopuszczany nie bywał. Kiedy zaś profesor Aleksander wracał do Krakowa, brał ze sobą niesławę człowieka, co — wbrew opinii wszystkich najwyższych organizacji w sztuce — dopuścił do wystawienia karykaturalnego pomnika Powstańców Warszawy. Pytany, tłumaczył się:

— Przybyło do mnie dwóch uzbrojonych generałów, to co ja miałem zrobić w moim garniturze, który w dodatku pije mnie pod pachami?...

Wbrew pozorom bowiem, że nic nie znaczy i nie może, w naszej sytuacji minister kultury musi być — jeśli zajdzie potrzeba — uparty i odważny. Gwoli ministerialnej sytuacji Iza Cywińska rzuciła prowadzony przez siebie jeden z najlepszych teatrów w Polsce jak dalece odważnie, dowiedziała się o tym, kiedy przy internowaniu w 1981 roku założono jej na ręce kajdanki. Z Teatru Nowego w Poznaniu wyszedł też Janusz Wiśniewski, który inscenizował i reżyserował w warszawskim Teatrze Wielkim operę kameralną Zbigniewa Rudzińskiego „Manekiny”, najtrwalszy międzynarodowy sukces tej sceny. Skoro już mowa o muzyce, korzystam z okazji, żeby Pani Minister polecić także doskonale prowadzoną przez Dondajewskiego Operę w Poznaniu i dość dziwnie, ale z niemalymi sukcesami Operę w Łodzi przez Piotra. Co się tyczy Filharmonii, na

szczególne względy zasługują Warszawska i Krakowska, z zespołów kameralnych ukształtowana na wysokim poziomie przez Maksymiliana Polaka Orkiestra Kameralna, jak również Polska Filharmonia Kameralna w Gdańsku stworzona i prowadzona przez Wojciecha Rajskiego. Co się tyczy reszty, przypominam mój dawny, uparty projekt, żeby zamiast dwudziestu miernych orkiestr symfonicznych, zredukować je do pięciu dobrych, dać im — systemem amerykańskim — do dyspozycji autokary i niech objeżdżają kraj z muzyką.

A kto będzie w zastępstwie Pani Izy prowadził jej Teatr Nowy w Poznaniu? Ośmielam się mniemać, iż dla rządowej chwały rzuciła go tym niepotrzebnie, że — jak sama wyznała w pierwszym TV wywiadzie — minister kultury i sztuki nie powinien się wtrącać do sztuki, bo tylko twórcy wiedzą — każdy dla siebie — co z nią robić. Do resortu należy jeno utrzymanie gmachów teatralnych i koncertowych, subwencjonowanie oper i festiwalu, bo jak Europa Europą, nigdy opery nie mogły utrzymać się z wpływów za bilety. Ministerstwo też przynajmniej stypendia krajowe i zagraniczne, a także pilnuje poziomu i procentu muzyki w programach Radia i Telewizji. Myślę, że energiczna Pani Iza winna zmusić, kogo trzeba, do założenia pod Suwałkami przekaznika TV dość silnego, żeby nasze programy oglądać mogli rodacy w Wilnie, bo tymczasem — dziwnym kaprysem prądów powietrznych — docierają one jedynie do Kowna.

Dając pierwszy wywiad, minister Cywińska ze szczególnym naciskiem podkreśliła, że będzie chciała zlikwidować działania cenzury w sztuce. Na, reszcie!... Na czarnej liście hańby dotychczasowych władz naszych zostaną wydawnictwa encyklopedyczne jeszcze z lat sześćdziesiątych, z których cenzura usunęła noty o jednym z najwybitniejszych kompozytorów polskich, świeżo zmarłym w Paryżu Romanie Palestrze, gdyż był emigrantem. Z innych publikacji usuwano na zmianę innego emigranta — Andrzeja Panufnika lub krajowego opozycjonistę Stefana Kisielewskiego. Kiedy zmarł w Wiedniu wybitny komediopisarz i satyryk — Artur Marya Swinarski, w

Warszawie cenzura skonfiskowała nekrolog zawiadamiający o mszy u Zbawiciela za jego duszę. Z bogatych dzieł znechania się cenzury nad moimi tekstami, szczególnie utkwiła mi w pamięci jej interwencja, kiedyś jeszcze pisywał dla „Świata”; usunięcie fragmentu tekstu zupełnie niezrozumiałe, więc pytałem o przyczyny za pośrednictwem redakcji, i dowiedziałem się, że zdaniem cenzora napisałem ten fragment... niegrzecznie.

Najpoważniejsze szkody, jakie po II wojnie odniosło piarstwo polskie skutkiem terroru cenzury, sięgają poza teksty. Oto — aniśmy się obejrzieli — jak w naszej własnej psychice rozbudował się aparat samocenzury. Wystarczy przyrównać prostą swobodę wyrażania pełni swoich poglądów przez kolegów naszych sprzed wojny, do wyrobionego w nas systemu aluzji, pokrętnego sposobu obchodzenia bólem lub tyłem zakazanych tematów, żeby jednak wiadomo było czytelnikom, o co chodzi... Dzisiejszym czytelnikom, gdyż ci z następnych pokoleń brać to będą za nieporadność i tępotę piór naszych. O, wciórności!...

Warto byłoby też zająć się Pani ministrem Izie, wspólnie z ministrem prof. Samsonowiczem, odświeceniem języka, usunięciem zeń tych wszystkich obcych wtrętów: indeksacja, lobby, nomenklatura, kontener, sytuacja patowa, które polskim inteligentom z awansu dają złudzenie należycie uczonego posługiwania się mową ojczystą.

No nic! Kiedy to piszę, rusza do działania nowy rząd premiera Mazowieckiego. Czy mu się realizacja celów uda?... Wierzę nie tyle w rząd, ile w naród i jego upartą wytrwałość bytowania pod polskim słońcem. Utratę naszej państwowości oznaczać się zwykło datą 1795 roku, gdy wywieziono króla Stanisława z Warszawy do Grodna. Ale to nieprawda... Wszystko stało się o wiek wcześniej, od śmierci w 1696 ostatniego suwerennego władcy Polski Jana III Sobieskiego i dojścia o dwa lata wcześniej do pełnoletności i samodzielnego panowania cara Piotra I, nazwanego później Wielkim. Przeto trzy wieki śmiertelnej zależności, a naród polski jak był, tak jest.